

Z oburzeniem wyjaśnił, że tam nie wolno się myć, że to wręcz szkodliwe dla zdrowia, i zaprowadził mnie do umywalni, na pewno biorąc za świnię.

W dzień po aresztowaniu zostałem poddany wstępniemu przesłuchaniu. Prowadzono mnie po różnych korytarzach i schodach skomplikowanego budynku. Długawy, chudawy żydowski młodzian nazywany „towarzysz Kacencel-lenbogen” zapytał mnie o imię i nazwisko, miejsce i rok urodzenia, rodziców i innych krewnych, czy żyją i gdzie obecnie przebywają oraz o całe moje *curriculum vitae*. Kiedy wspomniałem, że pracowałem w państwowym Ermitażu (bo tak, mimo absurdalności terminu, nazywał się i jeszcze do teraz nazywa carski Ermitaż), spytał zdziwiony, co to za żarty. Na tym przesłuchanie się skończyło, bez słowa na temat zarzutów.

Miałem już okazję zastanawiać się, czemu aresztantów tak często bołą zęby. Dotknęło to teraz mnie samego. Miałem leczony ząb, w którym należało często wymieniać opatrunek, ale od czasu wyjazdu z Petersburga nie było ku temu okazji i zaczęły się silne bóle. Zażądałem, by zaprowadzono mnie do dentystry GPU. Jego gabinet był zdumiewająco dobrze urządzone. Przez całe cztery miesiące pobytu w więzieniu przyszło mi korzystać ze stomatologów GPU, ale żaden nie miał tak znakomicie wyposażonego gabinetu jak ten na Łubiance.

Trzeciego dnia polecono mi zebrać swoje rzeczy. Na podwórzu czekał samochód, tak zwany czarny kruk, przypominający auta do przewozu kosztowności z banków, ze wszystkich stron zabudowany, o jednym tylko zakratowanym oknie w drzwiach wejściowych z tyłu. Na ławkach posadzono więźniów, jako ostatni wszedł uzbrojony żołnierz i „czarny kruk” poleciał po „białokamiennej Moskwie”.

Dojechaliśmy na peryferie, do historycznych Butyrek¹¹. Zaprowadzono nas na korytarz jednego z wielu tworzących je budynków. Przez okna widać było pozostałe budowle oraz uzbrojonych żołnierzy na drewnianej wieżycy strażniczej. Polecono nam czekać. Było mi niewygodnie. Dziwne, ale niejednokrotnie doświadczałem, że niezależnie od tego, jak złe byłyby warunki w areszcie, każda zmiana sprawia przykrość, tak samo jak przy przesiadkach kolejowych; w najgorszej sytuacji jakoś się urządzasz, mościsz sobie legowisko i nie chcesz, by cię niepokojono. Butyrki były pierwszym prawdziwym

11 [Butyrki – więzienie przejściowe i śledcze, drugie po Łubiance miejsce kaźni w czasach bolszewickich, powstałe jeszcze w XVII wieku, jedno z najcięższych więzień rosyjskich; przetrzymywano w nim wielu Polaków, od uczestników powstania styczniowego po ofiary procesu szesnastu].

więzieniem, które poznałem. Nie leży w mojej naturze poddawać się złemu nastrojowi, toteż szybko go przezwyciężyłem.

Wreszcie krata, która dzieliła korytarz, została otwarta i przed nami ukazało się wejście do „Świętego Świętych”¹²: *Lasciate ogni speranza voi qu'entrate*¹³. Przeszliśmy przez podwórze ze stojącą pośrodku cerkwią, w której oczywiście nie odprawiano nabożeństw, i weszliśmy do jednego z okalających dziedziniec niskich gmachów, przypominających – ze względu na cerkiew – raczej prawosławny monastyr niż więzienie. W korytarzu, w którym znaleźliśmy się teraz, rejestrowano nas po kolei. Rejestrację przeprowadzał więzień najstarszy stażem w tym korytarzu. W naszym przypadku był to sympatyczny młody człowiek, Prochorow, z rodziny właścicieli znanej firmy suszenia owoców metodą ogniową¹⁴. Był tu już od czterech lat. Kiedy po kilku dniach przenoszono mnie z powrotem na Łubiankę, on także pakował swoje rzeczy, ale nie wiedział, czy wychodzi na wolność, czy też jest przewożony gdzie indziej. Więcej o nim nie słyszałem.

Zostałem umieszczony we względnie dużej celi, na 20–25 osób. Z prawej strony, w jednej z dłuższych ścian, znajdowały się drzwi, na przeciwległej – dwa okna z widokiem na cerkiew. Przy ścianach i na środku pomieszczenia były łóżka w formie podwieszonych na koziolkach hamaków z jakiegoś materiału; trzeba je było samodzielnie zmontować i związać. Zasiadali tubylcy instruowali nowicjuszy i pomagali im. W tym wygodnym i względnie higienicznym urządzeniu bez robactwa dobrze się spało po twardych ławach z desek. Umieblowania dopełniał długi stół z surowej sosny, w której poprzednie pokolenia więźniów wyłobily szachownicę, kilka taboretów i „bardaszka” przy drzwiach opróżniana dwa razy dziennie, z której roznosiły się niemiłe zapachy. Wszystkich mieszkańców celi razem prowadzono do ubikacji rano i wieczorem, kiedy indziej – choćbyś pękl.

Jedzenie w każdym więzieniu było takie samo: rano wrzątek i sto gramów czarnego chleba na cały dzień; dwa razy „zupa”, to znaczy mętna woda

12 [Grec. ἅγιος ἁγίων, łac. *sanctum sanctorum*, kalka z hebr. *kodesz ha-kodaszim* – najświętsze miejsce w Świątyni Jerozolimskiej, gdzie znajdowała się Arka Przymierza].

13 [Poprawne: *voi ch'entrate*; Dante, *Boska Komedja*, I 3, 9: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie” – napis nad bramą piekła].

14 [Metoda ogniowa suszenia owoców i warzyw polega na użyciu powietrza ogrzewanego w piecach opalanych węglem, drewnem lub gazem].

o zapachu śledzi, z ziarnkami grochu na dnie. Tylko dostający paczki mogli przetrzymać, pozostali żywili się resztkami od tych szczęściarzy, którzy wykazywali dobrą wolę, by podzielić się czymkolwiek.

We wszystkich więzieniach, które „przepowiednia” pozwoliła mi odwiedzić, przed moimi oczami przesuwiał się odtąd sznur barwnych postaci. Pióro Balzaka byłoby godne utrwalić jedną po drugiej. Były wśród nich nie tylko pocziwiny ze wszystkich zakątków Rosji, ale często także cudzoziemcy, którzy dostali się w kleszcze GPU.

Jako pierwszy powitał mnie w Butyrkach znajomy; w więzieniu prawie zawsze można było mieć pewność, że się kogoś spotka. Tym razem był to moskiewski adwokat, którego niedawno poznałem; nie wiedziałem, że został aresztowany. Teraz nie pamiętam już, jak się nazywał. Raczej niewysoki, z czarną brodą, swego czasu wywarł na mnie wrażenie człowieka spokojnego, rozsądnego i spolegliwego, jak przystało na adwokata. Obecnie przekonałem się, jak niebezpieczeństwo może zmieniać; stał przede mną ktoś zupełnie inny. Już od pierwszych słów zaczął histerycznym głosem wyjaśniać swój przypadek, starając się udowodnić mi, że należy go natychmiast zwolnić, jak gdyby to ode mnie zależało. Nie przypominam sobie, o co go oskarżono. Cały czas, kiedy przebywaliśmy razem, nie schodził z tego tematu; jego niepokaźna wzburzona postać przytupywała i gestykulowała. Nie dowiedziałem się, co się z nim potem stało.

Śąsiednie łóżko zajmował Francuz. Diabli wiedzą, co go przygnało do Moskwy. Utrzymywał, że jest masonem, a tym samym – ważną osobistością. Jako że bolszewicy to także masoni (?!), to zaraz go zwolnią, skoro tylko na górze dowiedzą się, że został aresztowany. O komunizmie gadał wzniośle i zapewniał, że zna doktrynę we wszystkich szczegółach, powtarzał: *J'ai lu Charles Max* (sic!). Pomimo to był z niego zajmujący *causeur*, zresztą już jako Francuz ożywiał ponurą nieco atmosferę naszej celi.

W dniu mojego przybycia albo dnia następnego przyprowadzono wesołą, hałaśliwą kompanię złożoną z trzech lub czterech Ormian. O ile pamiętam, byli to wielcy przedsiębiorcy naftowi. Nastął NEP¹⁵ i spekulanci uzyskali

15 [NEP – Nowa Polityka Ekonomiczna (ros. *Nowaja ekonomiczeskaja politika*), doktryna gospodarcza Rosji radzieckiej i potem ZSRR w latach 1921–1929, wprowadzająca do dotychczasowego komunizmu wojennego elementy gospodarki rynkowej i zezwalająca na powstawanie małych prywatnych przedsiębiorstw, głównie w sferze usług i rolnictwa].

pewną swobodę działania. Moi Ormianie najwyraźniej przecholowali. Wzięli ze sobą ogromną wałówkę i urządzili sobie na kolację ucztę Lukullusa, nikomu niczego nie proponując. Wedle ich opowieści, już od dawna podróżowali z więzienia do więzienia, przywykli i czuli się całkiem nieźle, otrzymując z domu bogate paczki. Na „współbutyrkowców” patrzyli z góry. Ich proces już się toczył, mieli najlepszych adwokatów, więc się nie martwili. Potem jednak dowiedziałem się o ich „odchyleniu lewicowym”.

Jakoś pod wieczór zjawił się czechosłowacki oficer w mundurze, z bokobrodami. Dawał do zrozumienia, że jego aresztowanie wiąże się z polityką na wysokim szczeblu, a on sam ma powiązania z kierowniczymi kręgami bolszewickimi i znalazł się tu li tylko wskutek tymczasowego nieporozumienia.

Był między nami i biały żołnierz, straszliwie cierpiący z głodu. Dostał ode mnie trochę, tyle, ile mogłem mu ofiarować z moich topniejących już zapasów, i z własnej woli stał się moim kamerdynerem. Zjadał nawet czerwone skórki z mojego radziecko-holenderskiego sera, niebaczny na przestrogi; ten produkt wywoływał już przypadki zatrucia. Widzę jeszcze kilka twarzy, ale nie potrafię o nich zbyt wiele powiedzieć.

Dla zabicia czasu gadaliśmy i graliśmy w szachy na wyłobionych w dużym stole szachownicach. Figury lepiliśmy z czarnego chleba, a te białe pokrywał proszek do zębów. Potrzeba matką wynalazków! Na spacer wyprowadzano nas na podwórze; na jego skraju stała wieża, w której siedział Pugaczow, zanim został stracony. Nie pamiętam dokładnie, czy spędziłem tu trzy czy cztery noce, aż rankiem polecono mi zebrać rzeczy. Tym razem nie wsadzili mnie do „czarnego kruka”, lecz zawieźli na Łubiankę razem z wieloma innymi na otwartej przyczepie ciężarówki. Żał mi było opuszczać Butyrki, do których przywykłem, gdzie miałem wygodne łóżko i gdzie zawarłem tyle znajomości. Teraz znów stałem przed nieznanym. Cieszyłem się jednak widokiem ożywionych ulic i ludzi, na razie jeszcze na wolności. Jedynym możliwym wytłumaczeniem tych nagłych przenosin na Łubiankę było skierowanie do Petersburga. I rzeczywiście to nastąpiło, acz zaszło jakieś nieporozumienie i przyszło mi spędzić osiem nadzwyczaj nieprzyjemnych dni w tej samej pierwszej celi, w której co chwilę zmieniali się więźniowie i bez przerwy trzaskały drzwi. Niekiedy była tak przepełniona, że nie tylko nie można było znaleźć miejsca na tej szerokiej leżance, o której pisałem, ale nawet nie dawało się przysiąść. Pamiętam, jak pewnej nocy musiałem położyć się w poprzek, w nogach ludzi ułożonych twarzą do

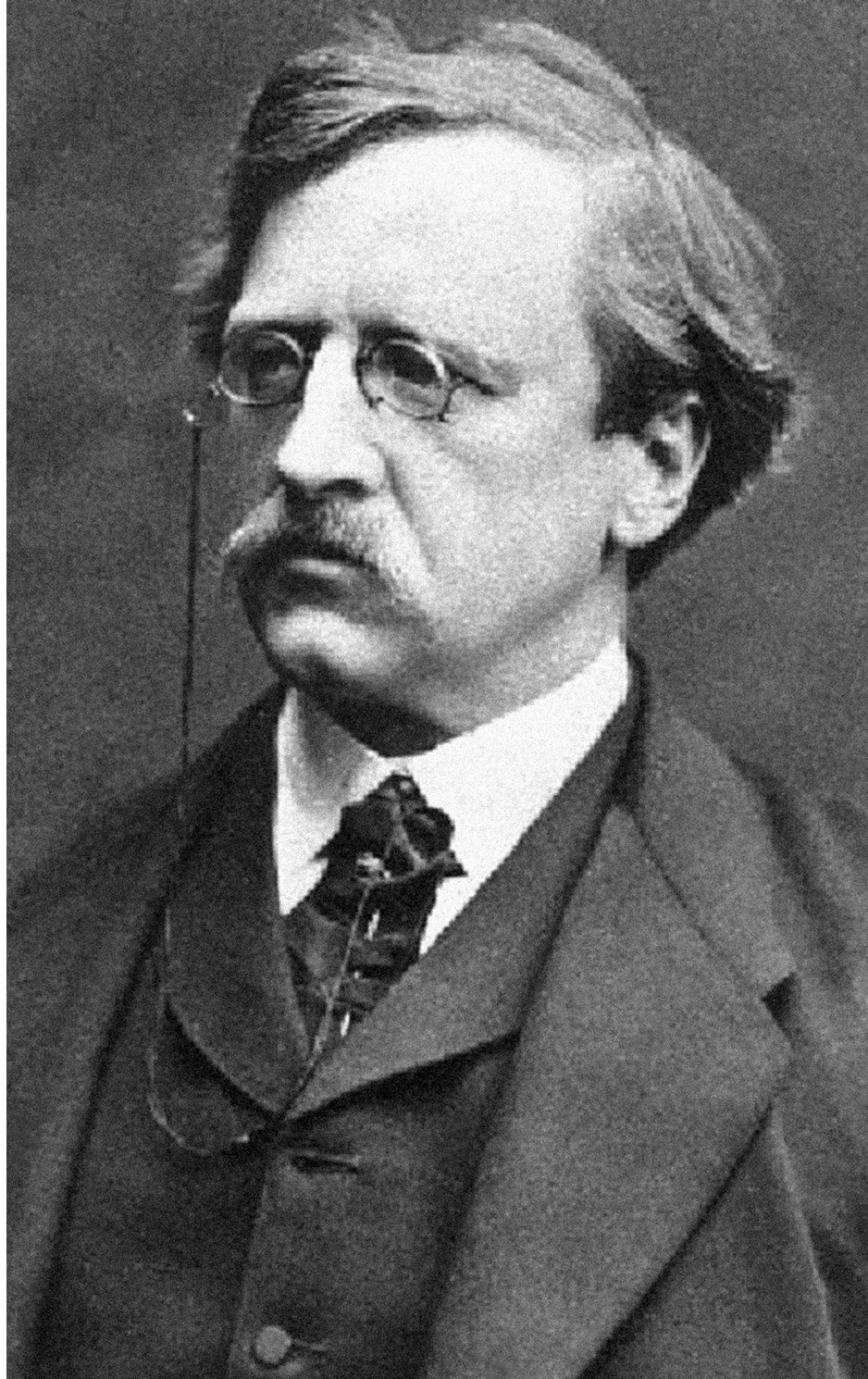
ściany, które co i rusz kopały mnie w głowę i w plecy. Wyczerpały się moje zapasy, nie przypuszczałem przecież, że przyjdzie mi spędzić w Moskwie dwa tygodnie, myśląc, że rychło odprawią mnie do Petersburga, gdzie będąc regularnie zaopatrywany z domu. Sto gram chleba i cuchnąca wodzianka jako zupa ledwo wystarczały do podtrzymania sił, nawet biorąc pod uwagę absolutny brak ruchu, ponieważ tu nie było spacerów jak w Butyrkach. Dlatego postanowiłem podnieść wartości odżywcze mojego chleba metodą przeżuwania Fletchera i muszę przyznać, że to rzeczywiście się udało; może to sprawa sugestii, ale w panujących warunkach cel został osiągnięty. I chcę tu wyrazić wdzięczność pewnemu miłemu człowiekowi, który obdarował mnie jajkiem na twardo.

Podczas drugiego pobytu na Łubiance kalejdoskop twarzy zmieniał się tak szybko, że tylko nieliczne mogą sobie przypomnieć. Adwokat, którego spotkałem w Butyrkach, na chwilę pojawił się i tu, przywieziony na przesłuchanie. Ustępując jego naleganiom, złożyłem skargę, że członek komitetu wykonawczego związku zawodowego (to był jedyny atut, który mógł tu jeszcze cokolwiek znaczyć) już od dwóch tygodni jest trzymany w areszcie bez przesłuchania, i to w jakich warunkach. Ani przez minutę nie wątpiłem, że mój protest pozostanie bez odpowiedzi, a wystosowałem go tylko po to, żeby uwolnić się od nieproszonego doradcy. Adwokaci lubią papierki. Zaadresowałem skargę do wiceprzewodniczącego moskiewskiego GPU towarzysza Unszlichta, który potem sam został rozstrzelany¹⁶.

Pośród wielu twarzy widzę jeszcze rumuńskiego żołnierza, który trafił tutaj w niepojęty sposób. Jako się dogadywaliśmy, on mówił po rumuńsku, ja – po włosku i w przybliżeniu rozumieliśmy się nawzajem. Był tu, dalej, niezwykłej urody młodzieniec, który wstąpił do partii w nadziei na dobre życie, służył jako szpicel w GPU i wpadł na kradzieży czy jakiejś innej brudnej sprawie. Mógł liczyć tylko na rozstrzelanie. Bał się wprost zwierzęco, szukał więc u mnie pocieszenia i otuchy. Jeszcze i dziś wyrzucam sobie, że mu powiedziałem „dobrze ci tak”.

Niekiedy bawiło, jak ten czy ów dostał się tutaj. Na przykład młody człowiek stał sobie na przystanku tramwajowym przed GPU, bez szkodliwych myśli. Podchodzi do niego jakiś typ i zaprasza do środka. Niekiedy więźniowie

16 [Józef Unszlicht (1879–1938) – polski i rosyjski działacz komunistyczny, członek SDKPiL, uczestnik rewolucji październikowej, następnie członek kolegium NKWD, w latach 1921–1923 zastępca przewodniczącego WCzK, potem OGPU, podczas wielkiej czystki skazany i stracony].



prowadzili rozmowy kulinarne; można było obserwować, jak pracowała ich fantazja i jak się nawzajem przekonywali; rozmówcom majaczyły się coraz to lepsze dania.

Od czasu do czasu dostawałem powiadomienie, że nazajutrz zostaną oprawiony do Petersburga; dzień nadchodził, a nie działo się nic. Tak minęło około ośmiu dób. Już dwa tygodnie przebywałem w areszcie, aż w końcu polecono mi zebrać rzeczy. Zdaje się o piątej, 16 sierpnia, trzech uzbrojonych żołnierzy eskortowało mnie na piechotę przez Moskwę w kierunku Dworca Mikołajewskiego (chyba i dzisiaj tak się nazywa). Było co najmniej nie do pomyślenia, żeby coś takiego przydarzyło się komuś wcześniej; teraz tak spowzedniało, że wydawało się najzupełniej naturalne.

W oczekiwaniu na pociąg zajęliśmy w poczekalni osobny stolik; siedzący przy nim wcześniej zostali przegnani – byłem wszak kimś w rodzaju trędownego. W wagonie zagospodarowaliśmy przedział trzeciej klasy, taki, jakie wówczas funkcjonowały, a zapewne i teraz funkcjonują w pociągach dalekobieżnych, z miejscami do leżenia dla każdego z czterech pasażerów (przedziały były oddzielone od siebie tylko oparciami ławek). Żołnierze wyrzucili okupujących go już ludzi. Z moimi strażnikami, młodzianami miłymi i usłużnymi, rozmawiało się przyjaźnie. Mieli prowiant i dla siebie, i dla mnie, toteż moje wyżywienie było daleko lepsze niż w więzieniu. 600 wiorst, których pokonanie wymagało wcześniej jednej nocy, teraz zajęło dwie noce i jeden dzień.

Nie pamiętam okoliczności przyjazdu na petersburski Dworzec Mikołajewski, wiem tylko, że szliśmy po lewej stronie Newskiego w kierunku Admiralicji. Moi żołnierze jeszcze nigdy nie byli w Petersburgu, służyłem im więc za przewodnika, pokazując miasto. Szukałem okazji, żeby dać znać do Instytutu, gdzie jestem. GPU znajduje się na rogu prospektu Admiralicji i Gorochowej. Zamiast iść prosto, ruszyłem Morską do placu Mariińskiego sąsiadującego z Isaakijewskim, wskazałem żołnierzom mój dom, prosząc, by weszli i poinformowali o mnie. Obiecałem, że dadzą im obiad. Ochoczo przystali i słowa dotrzykali. W tym momencie przypadkiem przechodził jakiś typ w mundurze GPU, który ordynarnie napadł na nas: niby że wodzę żołnierzy za nos i pokazał im drogę. Ale swój cel już osiągnąłem.

Znalazłem się zatem na Gorochowej – ta nazwa tak samo spowszedniała jak Łubianka. Główne wejście znajdowało się od strony prospektu Admiralicji; w czasach carskich mieściła się tu siedziba władz miasta. Budynek był z początku XIX wieku, względnie szlacheckiej architektury. Pamiętam z dzieciństwa, jak umierał tu naczelnik miasta, generał Gresser, mój krewny po kądzieli¹⁷. Przykładowy administrator, zniechęcony przez kręgi lewicowe, cieszył się jednak taką popularnością, że przed gmachem zebrał się tłum w oczekiwaniu na wiadomości. To ewenement w przypadku naczelnika miasta. Chorował na zakazanie krwi, które sam wywołał, aplikując sobie brudną strzykawką afrodyzjak. Potem bywałem tu w sprawach zawodowych u różnych naczelników – u dobrego starego generała von der Launitza¹⁸, zabitego przez terrorystów, u generała Draczewskiego¹⁹, który zdobył niechlubny rozgłos zamknięciem domów publicznych w stolicy, wreszcie u ostatniego naczelnika miasta za czasów monarchii, księcia Obolenskiego²⁰. W tamtych czasach wnętrza były lepiej, okazałej przyozdobione, ale i wtedy, i teraz panowała w nich, jak we wszystkich policyjnych instytucjach świata, wroga atmosfera, tylko dziś miniona wrogość wydawała się łaskawością.

Nie pamiętam wiele z formalności rejestracyjnych, widzę jedynie wąskie schody prowadzące na pierwsze (wedle normy rosyjskiej – drugie) piętro, do niegdysiejszych koszar grodowych²¹ – dwóch połączonych ze sobą sal, zdolnych pomieścić około 200 aresztantów. Piętro wyżej znajdowały się pojedyncze cele dla groźniejszych przestępców. Kiedy wszedłem, zza stołu naprzeciw drzwi wejściowych uniosła się figura brodatego, długowłosego wielkoluda przypominającego ojca diakona, który powitał mnie serdecznie. To był niejaki Mainow, urzędnik biura ekspedycji dokumentów państwowych. Bywają ludzie, których widzisz po raz pierwszy, jednakże wydają ci się starymi znajomymi, a i oni jak gdyby wiedzieli już o tobie. I od razu im ufasz jak starym przyjaciółom.

17 [Piotr Apollonowicz Gresser (1833–1892) – generał-lejtnant, od 1883 roku do śmierci naczelnik Petersburga].

18 [Władimir Fiodorowicz von der Launitz (1855–1906) – generał-major, zginął z rąk członków organizacji bojowej socjalistów-rewolucjonistów].

19 [Daniil Wasiljewicz Draczewski (1858–1918) – generał-major, od 1905 naczelnik miasta Rostów nad Donem, wykluczony z dworu Imperatora i zdegradowany w 1914 za malwersację].

20 [Aleksandr Nikołajewicz Obolenski (1872–1924) – naczelnik Petersburga w latach 1914–1916, po rewolucji walczył w armii Judenicza; zmarł na emigracji w Paryżu].

21 [Zob. przypis 12 na s. 84].

Mainow zresztą rzeczywiście coś tam o mnie słyszał, nie tylko dlatego, że byłem znany w mieście, ale i dlatego, że mój administrator, o którym już wcześniej wspominałem, pracował z nim w owej ekspedycji.

Nad stołem, zza którego powstał Mainow, wisiał ogromny transparent; „My się nie mścimy, my naprawiamy”. Spośród wszystkich wyróżników władzy radzieckiej właśnie hipokryzja, którą dobrze poznałem przez pięć lat pracy z rządem, była dla mnie najbardziej odrażająca. Mówiłem w myślach do dzierżących władzę: „Niszczyć wrogów klasowych – to ostatecznie jasny i zrozumiały punkt widzenia, aczkolwiek i w tej sprawie poglądy mogą być różne, ale to podłe i bezcelowe kłamstwo, w które nie wierzą ani sprzymierzeńcy, ani wrogowie, nie da się pogodzić z potężnym wichrem rewolucji, to brak stylu; zresztą – skąd wy, tępe ryje, mielibyście wziąć poczucie stylu!”

Mainow od razu wziął mnie jako nowicjusza pod opiekę, zapoznał z miejscowymi obyczajami i zarysował mi obraz ludzi, którzy zapełniali owe dwie sale. Zebrały się już dwie setki, nie starczało prycz, nie było żadnej wolnej. Zaproponował, bym dzielił z nim jego ławę. Taką samą, jak ta na Łubiance, gołe dechy, za wąsko nawet dla jednego. I mimo to przez dwa tygodnie dobrze nam się na nich spało, niezależnie od wszy i pluskiew, które zmieniały ciało w jedną wielką ranę. Spałem ubrany, rozbierałem się tylko wtedy, gdy szedłem do sąsiedniej umywalni. Ten komfort zawdzięczaliśmy naszym poprzednikom, grodowym, dla których została urządzona. Był tu rząd kranów, z których poziomo tryskała gorąca i zimna woda. Gorąca służyła nam także do mycia naszych ław; trzymaliśmy je pod strumieniem, uzyskując w ten sposób pluski bulion, który roztaczał wspaniały aromat. Nie była to zbyt skuteczna metoda, jako że miłe zwierzaczki rychło ponownie biegały między deskami.

Mainow okazał się interesującym człowiekiem, takim, którego może wydać tylko ojczyzna protopopa Awwakuma i Dostojewskiego. Od razu oznajmił mi, że cierpi męki duchowe, ale że jest męczennikiem cichym i że okresy jego mąk wymieniają się z okresami ołśnienia, co znaczy, że to cyklofrenia. Wedle jego słów, GPU o tym wie, albowiem on ma nicomylny symptom – nieruchomy wzrok. I mimo to trzyma go w areszcie, oskarżając o spisek monarchistyczny. Aresztowano go u wróżki. Jego obłąkanie miało religijny charakter. Zdobył kiedyś krzyżmo i sam siebie uczynił pomazańcem – biskupem i oberimperatorem. Wierzył, że Świątobliwy Synod gotów byłby uznać autentyczność tego

namaszczenia, on wszakże, gardząc Cerkwią patriarchy Nikona, zrezygnował, rzekłszy tylko: „Waszego świata godnym jest”.

Z prawosławciem Mainow łączył niezrozumiałe wyobrażenia zaczerpnięte z jogi i hinduskiej kultury ciała. Zapewniał, że z przekonania jest wegetarianinem, ale zdawało mi się, że w tych latach głodu, zwłaszcza wobec jego absolutnego ubóstwa, to była raczej bajka o lisicy i winogronach²². Potem, kiedy obaj byliśmy już wolni, jadł u mnie wszystko. Opowiadał, że zbiera na ulicach spleśniałe skórki od chleba, które jego żona gotuje. Przyrządzone w ten sposób są tak smaczne, że nawet gości można częstować. Ponadto jadał jakoby węgiel drzewny. „Swojemu lekarzowi” miał oznajmić, że ma dwie możliwości: albo jeść węgiel, albo umrzeć z głodu. A lekarz odparł: „No to proszę jeść”. Przez pierwsze dni węgiel się nie przyswajał, ale szybko wszystko wróciło do normy.

Zachowania Mainowa miały na wskroś religijny charakter. Potrafił jednak spojrzeć i na samego siebie, i na swoje cierpienia duchowe, i na religijne uniesienia z dystansu, krytycznym okiem. Niekiedy modlił się, po czym wyprawiał się na polowanie... na wszy. Zdejmował koszulę i szukał insektów. Jeśli zdobycz była solidna, oznajmiał: „No i widzi pan, pomodliłem się i Bóg zesłał mi taką obfitość”. Złowiwszy wesz, zjadał ją; to było odstępstwo od wyznawanego wegetarianizmu. Kiedy zapytałem, dlaczego to robi, wyjaśnił: „Jeśli rozgniotę wesz i cisnę na podłogę, to kto ją tam wie, czy martwa, a jeśli połknę, to mam pewność, że ją zgładziłem”. Zgadzał się wszakże, iż niszczenie robactwa to ludzka słabość, przywołując przykład świętego, który pokryty wszami odrąbał sobie rękę, by nie ulec pokusie ich zabicia.

W 1947 roku w nowojorskiej gazecie „Nowoje russkoje słowo” więziń siedzący z nami, niejaki p. Pietriszczew, opisał Mainowa, którego imię zresztą zapomniał. Artykuł dowodzi, że dwóch świadków wspominających absolutnie obiektywnie te same zdarzenia, przekazuje je inaczej. Nie pamiętam ani o tym, by był pośród nas Zamiatin²³, ani o duchownych, ani o słowach, które przypisuje mi autor. Nie wiedziałem wówczas, dlaczego zostałem aresztowany, i wcale nie byłem przekonany, że mają mnie rozstrzelać, choć nie wykluczałem

22 [Mowa o bajce Iwana Kryłowa, w której głodna „kuma” lisica, nie mogąc dosięgnąć winogron, odchodzi, tłumacząc wyniosłość, że są zielone, niedojrzałe i niesmaczne].

23 [Jewgienij Iwanowicz Zamiatin (1884–1937) – pisarz, krytyk i publicysta, autor antyutopijnej powieści *My*; w roku 1926 prowadził wykłady w IHS].

takiej możliwości. Spokojnie przyglądałem się wszystkiemu, odnosiłem jednak wrażenie, że do tego nie dojdzie. Nie przypominam sobie także, by Mainow codziennie od dziewiątej wieczorem do szóstej rano spacerował, patrolując teren, żeby uchronić więźniów przed okradzeniem przez element przestępczy, посаdony tu razem z nami. Przeciwnie, pamiętam, jak wąska była dla nas oba ława. Spaliśmy plecy w plecy, a ja podkładałem mój miękki kapelusz, żeby kości mniej uwiierały. Nigdy też nie słyszałem od Mainowa, że jada żuki; byłoby to drugie odstępstwo od jego wegetariańskiej diety. Nawiasem mówiąc, uzasadnianie tego faktu wpływem apostoła Piotra (Dzieje Apostolskie XI, 5–10) całkowicie zgadzało się z trybem myślenia Mainowa, a ponieważ trudno było spodziewać się po jego wypowiedziach żelaznej konsekwencji, to całkiem możliwe, że p. Pietriszczew usłyszał od niego coś takiego. Jeśli zaś chodzi o staruszki, którym pomagał, pomimo swojego bezgranicznego ubóstwa, to i ja, zdaje się, wiedziałem o czymś podobnym. Podsumowanie filozofii Mainowa przytoczone przez autora artykułu w pełni, jak sądzę, odpowiada sposobowi myślenia mojego przyjaciela: „Według Marksa świat zamieszkują z jednej strony wrogowie klasowi, a z drugiej towarzysze, a wedle Ewangelii wszyscy jesteśmy braćmi, dobrzy czy źli, mądrzy czy głupi, niemniej wszyscyśmy braćcia. Braterstwo to rzecz miłości, wspólnoty w prawdzie. Inna sprawa z towarzyszami; to tak, jakby dwóch pojmało arkanem cudzego konia i ciągnęło go na sprzedaż Cyganom. Tacy właśnie są towarzysze”.

Spśród wszystkich mieszkańców sali Mainow był bez wątpienia postacią najbarwniejszą. Ale wkrótce miały do nas dołączyć osoby z zupełnie innego środowiska. Nie pamiętam, czy w dniu mojego przybycia, czy dnia następnego przyprowadzono kilku profesorów uniwersytetu. Spomiędzy nich najlepiej znałem historyka Władimira Platonowicza Karsawina²⁴, jednego z najbardziej fascynujących ludzi, z jakimi dane było mi się spotkać, brata niezrównanej artystki Tamary Karsawiny²⁵, która wraz z Niżynskim zachwycała Europę Zachodnią w baletach Diagilewa. Znałem Karsawina jeszcze z czasów, gdy obaj

24 [Błąd pamięci – chodzi o Lwa Platonowicza Karsawina (1882–1952) – filozofa religii, historiozofa, mediewistę, poetę, autora fundamentalnych prac kulturozoficznych, deportowanego w 1922, który działał potem w środowisku berlińskim, a od 1927 roku wykładał na uniwersytetach litewskich; oskarżony i skazany w roku 1950, zmarł na gruźlicę w łagrze w Komi].

25 [Tamara Platonowna Karsawina (1885–1978) – jedna z najśłynniejszych baletnic rosyjskich, solistka Teatru Mariińskiego, członkini zespołu „Balety Rosyjskie” Siergieja Diagilewa; często tańczyła z Wacławem Niżynskim].

studiowaliśmy; teraz zasiadaliśmy razem w Radzie Fakultetu Filologicznego, on jako przewodniczący Wydziału II historycznego, ja – Sztuki i Literatury. Wystylizował się na Władimira Sołowjowa. Był ostatnim z wahających się między katolicyzmem i prawosławiem, a obecnie utrzymywał, że znalazł drogę powrotu do tego ostatniego. Pomimo stosunkowo wyrazistych rysów twarzy, ze swoimi długimi włosami i długą, rzadką brodą w szpic mógłby, podobnie jak Sołowjow, pozować do portretu Chrystusa. Imponował ogromną erudycją, którą w swobodnej rozmowie nie nużył słuchaczy. Wstydzilem się w duchu, gdy porównywałem jego wiedzę ze swoją.

W naszym środowisku pojawił się jeszcze jeden historyk, specjalista od dziejów Rosji, doktor Strojew. Cierpiał na padaczkę, kilkakrotnie miał atak na naszych oczach. Był to w ogóle trochę dziwak, człowiek, jak mi się wydawało, już na zawsze nieszczęśliwy, z kompleksem niepełnowartościowości, przekonany, że nie jest doceniany stosownie do osiągnięć. W tym czasie GPU było jeszcze względnie wyrozumiałe; wszyscy profesorowie aresztowani w tej grupie zostali potem deportowani, co dla większości stanowiło urzeczywistnienie skrytych pragnień. Również Strojew otrzymał nakaz opuszczenia kraju. Sprzedał swoją bibliotekę, meble i szykował się do wyjazdu. Ale nieoczekiwanie przeproszono go – został pomyłony z inną osobą, z profesorem Strojewem-Diesnickim. A jako że to nie on miał wyjechać, to odmówiono mu zagranicznego paszportu. Można sobie wyobrazić jego gorzkie rozczarowanie. Zdaje się, że po długich zachodach udało mu się jednak dostać zezwolenie na wyjazd, w każdym razie wiele lat później spotkałem go w Berlinie, gdzie też zmarł.

Był z nami także profesor filozofii Iwan Iwanowicz Łapszyn, który wykladał u mnie estetykę. Najczystsza dusza, ale nudziarz. Przedostał się potem do Pragi, gdzie go odwiedzałem i gdzie zmarł. Na domiar wszystkiego był tak niechlujny, że nawet ludzie nie nazbyt pedantyczni bali się zająć do niego w obawie przed robactwem. Nie zaprzestawał pracować i pisać. Kiedy go widziałem ostatni raz, oznajmił: „nie zobaczymy się więcej. Czeka mnie już tylko cmentarz”.

Innym aresztowanym filozofem był profesor Nikołaj Onufrijewicz Łoski, wybitny uczony o urzekającej osobowości. Także i on wykladał w moim Instytucie. Zmarł w bardzo podeszłym wieku we Francji, gdzie widziałem go jeszcze w 1965 roku.